

F. Scott Fitzgerald

KRÓTKA PODRÓŻ DO DOMU



I

Szedłem tuż za nią, trzymałem się blisko, żeby choć przez moment towarzyszyć jej z saloniku do drzwi frontowych. Nawet te kilka wspólnie zrobionych kroków znaczyło dla mnie bardzo wiele, bo ona była śliczną rozkwitającą dziewczyną, a mnie — zaledwie o rok od niej starszemu — daleko było do rozkwitu i ledwie odważyłem się zbliżyć do niej w ciągu tych dziesięciu dni spędzonych w domu. Nie zamierzałem odezwać się do niej w tej krótkiej chwili ani dotknąć jej, ale miałem cichą nadzieję, że ona podczas naszego przelotnego sam na sam coś zrobi, powie coś przeznaczonego specjalnie dla mnie.

Wszystko w niej nagle stało się urocze — jej różowe dłonie, lśnienie krótkich włosów na karku, jej pewność siebie, która u przystojnych dziewcząt amerykańskich dochodzi do pełnego głosu w osiemnastej wiosnie życia. Była już prawie skończoną pięknnością, ale krople rosy jeszcze nie obeschły.

Widziałem, że stopniowo, niepostrzeżenie odchodzi w inny świat — świat Joego Jelke i Jima Cathcarta czekających teraz na nas w samochodzie. W przyszłym roku odejdzie ode mnie na zawsze.

Kiedy czekałem wyczuwając wprost obecność tamtych dwóch wśród śnieżnego wieczoru, podniecenie świątecznego tygodnia i podniecenie idącej tuż obok Ellen, z jadalni wyszła pokojówka, powiedziała coś po cichu do niej i podała jakąś karteczkę. Ellen przeczytała ją, a oczy jej rozjaśniły się nagle, jak to czasem bywa ze światłem elektrycznym na wsi, spojrzała przed siebie, wreszcie obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, zapewne wcale mnie nie widząc, poszła za pokojówką do jadalni i gdzieś obie zniknęły.

Siedziałem w hallu co najmniej pół godziny przewracając kartki magazynu ilustrowanego, kiedy wpadł Joe Jelke, z twarzą zaczerwienioną od mrozu, a spod futra widać mu było jedwabny szal. Joe kończył studia w New Haven, ja byłem dopiero na drugim roku; był osobistością znaną w świecie studenckim, członkiem klubu Scroll i Keys, i uważałem go za bardzo przystojnego i nieprzeciętnego młodzieńca.

— Ellen jeszcze nie wyszła?

— Nie wiem — odparłem dyskretnie. — Była już prawie gotowa.

— Ellen! — zawołał. — Ellen!

Zostawił otwarte drzwi frontowe i fala mroźnego powietrza wtargnęła do hallu. Wbiegł do połowy schodów — był zaprzyjaźniony z tym domem — i znowu zawołał, aż na górny podest wyszła pani Baker i powiedziała, że Ellen jest na dole. Wtedy zmieszana pokojówka znowu pojawiła się w drzwiach jadalni.

— Panie Jelke! — zawołała cicho.

Na twarzy Joego malował się niepokój, kiedy odwrócił się do dziewczyny; przeczuwał niepomyślne wiadomości.

— Panna Ellen prosiła, żeby pan sam pojechał na tańce. Ona przyjdzie później.

— Dlaczego?

— Teraz nie może. Przyjdzie później.

Zawahał się niepewny. To było ostatnie większe przyjęcie z tańcami w okresie tych ferii, a on szalał za Ellen. Na Boże Narodzenie usiłował ofiarować jej pierścionek, a kiedy mu się to nie udało, skłonił ją do przyjęcia woreczka ze złotej siatki, wartości co najmniej dwustu dolarów. Nie był on jedynym jej wielbicielem — było jeszcze trzech czy czterech równie bez pamięci zakochanych i starających się dać temu wyraz w ciągu krótkich dziesięciu dni jej pobytu w domu. On jednak miał największe szanse, ponieważ był bogaty, pełen wdzięku, no i cieszył się wielkim wzięciem w towarzystwie — w tym okresie był najbardziej pożądaną partią w St. Paul. Mnie wydawało się wprost niemożliwe, żeby mogła woleć kogoś innego, ale krążyły plotki, że uważała Joego za „zbytnią doskonałość”. Sądzę, że po prostu nie miał w sobie dla niej nic tajemniczego, a kiedy mężczyźni tego brak i dziewczyna przy tym wcale nie myśli o zamążpójściu...

— Panienska jest na pewno w kuchni — powiedział z gniewem Joe.

— Nie, nie ma jej tam. — Dziewczyna była nieco przerażona, ale mimo to odpowiadała hardo.

— Właśnie, że jest.

— Panienska wyszła kuchennymi drzwiami.

— Sam sprawdzę.

Poszedłem za nim. Służące-Szwedki spojrzały na nas, kiedyśmy się zbliżali, odprowadzając nas pełnym zainteresowania pobrzękiwaniem naczyń. Otwarte kuchenne drzwi kołysał wiatr, a kiedy wyszliśmy na zasypane śniegiem podwórko, zobaczyliśmy tylne światła jakiegoś samochodu skręcającego na końcu alei.

— Jadę za nią — powiedział Joe powoli. — Nic nie rozumiem.

Zbyt byłem przejęty tą klęską, żeby z nim dyskutować. Pędem wsiedliśmy do jego samochodu i daremnie zaczęliśmy nerwowo przeczesywać uliczki naszej wytwornej willowej dzielnicy, zaglądnąc do każdego samochodu. Joe dopiero po jakiejś godzinie uświadomił sobie bezcelowość tych poszukiwań — St. Paul jest miastem prawie trzystutysięcznym — a poza tym Jim Cathcart przypomniał mi, że musimy przecież wstąpić po jeszcze jedną dziewczynę. Jak ranne zwierzę, z melancholijną miną, zaszył się w swoim futrze w kąt wozu, od czasu do czasu prostując się, żeby wyrzeć, a potem znowu opadał i kiwał się, jakby na znak protestu czy też rozpacz.

Dziewczyna Jima, od dawna gotowa, bardzo była zniecierpliwiona, ale po tym, co zaszło, jej zniecierpliwienie nie wydało nam się specjalnie ważne. Mimo to muszę przyznać, że wyglądała uroczo. I to właśnie charakteryzuje zimowe ferie świąteczne — że dorastanie, zmiany i przygody przeżyte z dala od domu tak ekscytują i odmieniają ludzi, których znało się całe życie. Joe Jelke, choć nieobecny duchem, był dla niej uprzejmy — pozwolił sobie też na jeden krótki głośny wybuch rubasznego śmiechu zamiast rozmowy — i ruszyliśmy do hotelu.

Szofer podjechał ze złej strony, gdzie trudno było wysiąść z powodu parkujących samochodów, i nagle, właśnie dlatego, wpadliśmy na Ellen Baker wysiadającą z małego samochodziku. Nie zdążyliśmy się jeszcze zatrzymać, kiedy Joe Jelke podniecony wyskoczył z wozu.

Ellen odwróciła się i spojrzała na nas roztargnionym wzrokiem, ale na pewno nie ze strachem, ona chyba nas nie widziała. Joe podszedł do niej z poważną, pełną wyrzutu miną, odpowiednio moim zdaniem wyrażającą jego urazę. Ja za nim.

W samochodzie siedział mężczyzna — nie wysiadł nawet, żeby podać rękę Ellen — o szczupłej, zawziętej twarzy, pewno trzydziestopięcioletni, który patrzył na nas z ponurym uśmiechem. W oczach jego malowała się kpina z całej rasy ludzkiej — były to oczy sennego zwierzęcia, nieruchomo obserwującego okazy innego gatunku. Były bezradne, a mimo to brutalne, pozbawione nadziei, a jednak pełne ufności. Te oczy robiły wrażenie, że nigdy nie rozbłyszczą ożywieniem, ale jednocześnie wiadomo było, że potrafią wyzyskać w pełni każdą najdrobniejszą oznakę słabości u innych.

Podświadomie zakwalifikowałem go jako przedstawiciela gatunku ludzi, z których istnienia zdawałem . sobie sprawę od najwcześniejszego dzieciństwa, ludzi stale „kręcących się w pobliżu” — opartych jednym łokciem o ladę trafiki, obserwujących przez niezwykle małą szparkę w mózgu klientów spieszenie wchodzą-

cych i wychodzących. Zżytych z garażami, gdzie załatwiali szeptem jakieś podejrzone interesy, kręcących się u fryzjera i w foyer teatrów — słowem w takich miejscach umieszczałem ten typ, jeśli w ogóle był to typ, z jakimi mi się kojarzył. Czasem jego twarz ukazywała się w jakiejś śmielszej karykaturze Tada, a ja zawsze, od najwcześniejszych lat chłopięctwa, rzucałem nerwowe spojrzenie w kierunku niejasnej linii granicznej, za którą stał i skąd obserwował mnie pogardliwie. Kiedyś we śnie zrobił w moim kierunku kilka kroków i kiwnąwszy na mnie mruknął: „Słuchaj, mały...” tonem, który miał być przyjacielski, a ja przerażony pędem uciekłem do drzwi. Taki to był rodzaj człowieka.

Joe i Ellen patrzyli na siebie w milczeniu, sprawiała wrażenie — jak już powiedziałem — kompletnie oszołomionej. Było bardzo zimno, ale ona nie zauważyła, że jej płaszcz rozchylił się na wietrze i że Joe ściągnął go troskliwie, tylko jak automat przycisnęła poły ręką.

Nagle mężczyzna w samochodzie, który obserwował ich w milczeniu, roześmiał się. Było to właściwie parsknięcie — zaledwie hałaśliwe szarpnięcie głową — ale wyraźnie obraźliwe, nie ulegało to dla mnie wątpliwości, i to tak, że nie można było tego puścić płazem. Nie zdziwiło mnie więc, kiedy Joe, znany ze swej impulsywności, odwrócił się do niego i spytał gniewnie:

— Co to pana obchodzi?

Mężczyzna odczekał chwilę i odwrócił wzrok, mimo to widząc jednak wszystko. Potem znowu roześmiał się tak samo. Ellen poruszyła się zmieszana.

— Kto to jest ten... ten... — głos Joego aż zadrżał z gniewu.

— Pilnuj pan swego nosa — powiedział mężczyzna flegmatycznie.

Joe zwrócił się do mnie:

— Eddie, zabierz Ellen i Katarzynę, dobrze? — powiedział szybko. — Ellen, pójdiesz z Eddiem.

— Pilnuj pan swego nosa — powtórzył mężczyzna.

Ellen cicho cmoknęła, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zaprotestowała, kiedy wziąłem ją pod ramię i skierowałem się w stronę bocznego wejścia do hotelu. Byłem zdumiony, że jest tak bezradna, wręcz uległa w swym milczeniu wobec tego narastającego konfliktu.

— Zostaw go, Joe! — zawołałem oglądając się przez ramię. — Chodź z nami!

Ellen przywarła do mego ramienia i zmusiła mnie do przyspieszenia kroku. Kiedy znaleźliśmy się w drzwiach obrotowych, miałem wrażenie, że mężczyzna wysiadł ze swego samochodu.

Po upływie może dziesięciu minut, gdy czekałem na dziewczęta pod damską garderobą, wysiedli z windy Joe Jelke i Jim Cathcart. Joe był bardzo blady, oczy miał zapuchnięte i błyszczące, na czole i na białym szalu zakrzepła mu strużka krwi. Jim trzymał oba ich kapelusze w rękach.

— Uderzył Joego kastetem — poinformował mnie szeptem Jim. — Joe na kilka minut stracił przytomność. Poślij boya po balsam na stłuczenia i plaster.

Było już późno, hall świecił pustkami, z dołu dolatywały do nas mosiężnym pobrząkiem fragmenty melodii tanecznych, jak gdyby odsuwano ciężkie kotary i z powrotem je zaciągano. Ominęliśmy komitet powitalny i poszliśmy do ciemnego pokoju, gdzie ustawiono rachityczne palmy, pod którymi czasem w przerwie między tańcami siadały parki; tutaj powiedziałem Ellen, co się stało.

— Joe sam sobie winien — stwierdziła ku memu zdumieniu. — Mówiłam mu, żeby się nie wtrącał.

To nie była prawda. Nic nie powiedziała, tylko cmoknęła niecierpliwie.

— Wybiegłaś kuchennymi drzwiami i zniknęłaś prawie na godzinę — zaprotestowałem. — A potem pojawiłaś się z tym facetem o zakazanej gębie, który śmiał się Joemu prosto w nos.

— Z facetem o zakazanej gębie? — powtórzyła jak gdyby smakując dźwięk słów.

— A czyż tak nie wyglądał, Ellen, na miłość boską, gdzieżeś ty go wytrzasnęła?

— W pociągu — odparła. I chyba natychmiast pożałowała tego wyznania. — Lepiej nie wtrącaj się w nieswoje sprawy, Eddie. Sam widziałeś, co się przytrafiło Joemu.

Dosłownie jęknąłem. Było to coś niesamowitego — patrzeć na nią, jak siedziała obok mnie, nieskazitelna, promieniująca świeżością i subtelnością, i słuchać tego, co mówi.

— Ależ ten człowiek to bandyta! — zawołałem. — żadna dziewczyna nie może być z nim bezpieczna. On poczęstował Joego kastetem... kastetem!

— Czy to coś bardzo złego?

Spytała mnie tak, jakby mogła zapytać kilka lat temu. Wreszcie spojrzała i widziałem, że naprawdę chce usłyszeć odpowiedź; przez chwilę odniosłem wrażenie,

że wrócił jej dawny, prawie zupełnie utracony sposób bycia, potem znowu zeszywniała. Powiedziałem „zeszywniała”, bo zauważyłem, że ilekroć w grę wchodził ten mężczyzna, powieki jej nieco opadały usuwając wszystko inne z pola widzenia.

Pewno był to moment, kiedy powinienem Ellen powiedzieć parę słów do słuchu, ale pomimo wszystko nie potrafiłem robić jej wyrzutów. Znadto byłem pod urokiem jej urody i powodzenia. Zacząłem ją nawet usprawiedliwiać. Może ten mężczyzna nie jest taki, na jakiego wygląda, albo może — bardziej romantycznie — jest związana z nim wbrew swej woli, żeby kogoś chronić. Wtedy właśnie do pokoju z palmami zaczęli napływać goście i podchodzić do nas. Musieliśmy przerwać rozmowę i poszliśmy na salę balową, gdzie ukloniliśmy się starszym chaperonującym damom. A potem pozwoliłem, by ją uniosło jaskrawe, niespokojne morze tańca, gdzie kołysała się na własnej fali, wśród przyjaznych wysp kolorowych kotylionów, porozkładanych na stołach, i południowych wiatrów wiejących poprzez salę od mosiężnych instrumentów. Po chwili spostrzegłem Joego Jelke, jak siedział w kącie z czołem zaklejonym plastrem i obserwował Ellen takim wzrokiem, jak gdyby to ona uderzyła go własnoręcznie, lecz nie zbliżyłem się do niego. Ja sam czułem się nieswojo — jakbym się obudził z popołudniowej drzemki — jakoś dziwnie i złowieszczo, jak gdyby podczas tej przerwy odeszło coś, co przewartościowało wszystko, a co umknęło mojej uwagi.

Poszczególne etapy wieczoru mijały powoli: papierowe czapki, tekturowe rogi obfitości, amatorskie żywe obrazy i błyski fleszów oznaczające zdjęcia do porannych gazet. Potem był uroczysty marsz i kolacja, a o drugiej nad ranem kilka osób z komitetu organizacyjnego przebranych za inspektorów prohibicji zepsuło swoim pojawieniem się zabawę, wobec czego rozdano wśród uczestników żartobliwą gazetkę, w której wyśmiewano wydarzenia minionego wieczoru. Przez cały czas kątem oka śledziłem orchideę lśniącą na ramieniu Ellen, jak pióro Stuartów poruszającą się po sali. Śledziłem ją z sercem ściśniętym złym przeczuciem, aż wreszcie ostatni zaspani goście stłoczyli się w windach i opatuleni po nosy w wielkie, bezkształtne futra wypłynęli w bezmiar czystej, suchej nocy w Minnesocie.

II

W centrum naszego miasta jest dzielnica, położona na wzniesieniach, pomiędzy wytworną dzielnicą willową na wzgórzu i nadrzeczną dzielnicą handlową. Ta bliżej nie określona część miasta podzielona jest przez strome uliczki na trójkąty i dziwne, nieregularne wieloboki; można tu spotkać zupełnie nieoczekiwane nazwy, w rodzaju Siedmiu Kątów, i nie wiem, czy znalazłoby się kilka osób, które by potrafiły narysować jej dokładny plan, mimo iż każdy z nas przemierzał ją dwukrotnie w ciągu dnia trolejbusem, samochodem czy na piechotę. I chociaż panował tu ożywiony ruch, nie umiałbym powiedzieć, jakie przedsiębiorstwa się do tego przyczyniły. Zawsze ustawiały się tutaj długie rzędy trolejbusów czekających na to, żeby gdzieś wyruszyć; było tu jedno wielkie kino i kilka małych, obwieszonych krzykliwymi plakatami; małe sklepiki z „Old King Brady” i „Liberty Boys of 76” na wystawach, z papierosami, ciastkami i słodyczami w środku: i wreszcie przynajmniej jedno określone miejsce — pokoik pewnej pani, którą wszyscy odwiedzaliśmy co najmniej raz w roku. Kilkakrotnie w latach chłopięcych zdałem sobie sprawę, że jedna strona pewnej ciemnej uliczki była wyraźnie podejrzana i że w całej dzielnicy pełno jest lombardów, jubilerów sprzedających tandetę, małych klubów sportowych z salkami do treningów i nędznych knajp.

Rankiem po tańcach w Klubie Kotylionowym obudziłem się późno, pogrążony w rozkoszonym lenistwie, z radosnym przekonaniem, że przez najbliższe kilka dni nie ma wczesnego zrywania się do kaplicy, nie ma wykładów — słowem nie mam nic do roboty poza oczekiwaniem na jeszcze jedną zabawę. Dzień był jasny i mroźny — jeden z tych dni, kiedy się zapomina, jak zimno jest na dworze, dopóki mróz nie zacznie szczytać w policzki — a wydarzenia ubiegłego wieczoru wydawały się zamazane i bardzo odległe. Po lunchu ruszyłem pieszo do miasta wśród lekkiego, miłego, padającego drobnymi płatkami śniegu, który się zapowiadał na całe popołudnie, i byłem mniej więcej w połowie tej części miasta, która — o ile mi wiadomo — nie ma żadnej nazwy, kiedy nagle błahe myśli zostały zwiane jak kapelusz przez podmuch wiatru, i zacząłem intensywnie myśleć o Ellen Baker. Zacząłem się o nią tak martwić, jak nigdy dotąd o nikogo, z wyjątkiem samego siebie. Zwolniłem, instynktownie pragnąc zawrócić, żeby znowu wspiąć się na wzgórze, odszukać ją i porozmawiać, ale

przypomniałem sobie, że poszła gdzieś na podwieczorek, więc znowu ruszyłem energicznie naprzód, ciągle jednak o niej rozmyślałem, i to coraz intensywniej. I wtedy cała sprawa znowu się przede mną otworzyła.

Jak już powiedziałem, padał śnieg i była czwarta godzina, grudniowe popołudnie, kiedy w powietrzu wisi zapowiedź zmroku i zapalają się powoli lampy uliczne. Minąłem lokal stanowiący połączenie sali do gry w bilard i restauracji, na którego wystawie umieszczono ruszt pełen gorących kielbasek, i przy drzwiach którego stała niewielka grupka nierobów. W środku paliły się już światła niezbyt jasne — po prostu kilka słabych lamp wysoko u sufitu — i blask, jaki rzucały w mroźny zmierzch, nie był tak silny, żeby zapraszać przechodnia do wewnątrz. Kiedy mijąłem ten lokal, myśląc cały czas intensywnie o Ellen, kątem oka zauważyłem tych czterech facetów. Zrobiłem kilka zaledwie kroków, kiedy jeden z nich zawołał mnie, co prawda nie po imieniu, ale w sposób, który wyraźnie świadczył o tym, że zwraca się do mnie. Pomyślałem sobie, że to zapewne wyraz uznania dla mego futra z szopów, i nie zwróciłem na niego uwagi, ale w chwilę później zawołał znowu z wyraźnym naleganym w głosie. Zniecierpliwiony, odwróciłem się. O jakieś dziesięć kroków ode mnie, w tej niewielkiej grupce, stał mężczyzna o zaciętej, szczupłej twarzy, któregośmy spotkali wczoraj wieczorem, i patrzył na mnie z wyrazem tego samego szyderstwa, z jakim spoglądał wtedy na Joego Jeike.

Ubrany był w elegancki czarny płaszcz, zapięty aż pod szyję, jakby mu było zimno. Ręce wsunął głęboko w kieszenie, na głowie miał melonik i wysokie buty zapinane na guziki. Byłem zaskoczony i przez chwilę zawahałem się, ale przede wszystkim ogarnął mnie gniew, wiedząc jednak, że jestem szybszy w bitce niż Joe Jelke, zrobiłem ostrożny krok w jego kierunku. Tamci nie patrzyli na mnie — chyba w ogóle mnie nie widzieli — ale ten mnie wyraźnie poznał, jego spojrzenie nie było obojętne, nie ulegało co do tego wątpliwości.

„Oto jestem. I co zamierzasz teraz zrobić?” — zdawały się mówić jego oczy.

Zrobiłem jeszcze krok w jego kierunku; roześmiał się bezdźwięcznie, z wyraźną pogardą, i cofnął się do tej grupy. Ja za nim. Chciałem do niego przemówić — choć jeszcze nie wiedziałem, co powiem — ale kiedy się zbliżyłem, albo zmienił zamiar i się wycofał, albo chciał, żebym wszedł za nim do restauracji, bo odłączył się od trzech towarzyszy, którzy obserwowali moje pełne napięcia zbliżanie się bez najmniejszego zainteresowania. Należeli do tego samego gatunku co on — ubrani z tandetną

elegancją, ale w przeciwieństwie do niego, raczej gładcy niż brutalni. W ich spojrzaniach nie wyczułem nic obraźliwego.

— Czy on wszedł do środka?

Spojrzeni po sobie z ukosa, mrugnęli porozumiewawczo i po chwili wahania jeden z nich się odezwał:

— Czy kto wszedł do środka?

— Nie znam jego nazwiska.

Znowu mrugnięcie. Zły, ale zdecydowany minąłem ich i wszedłem do sali bilardowej. Kilku gości stało przy ladzie z jednej strony, kilku innych grało w bilard, ale jego wśród nich nie było.

Znowu się zawahałem. Jeżeli miał zamiar wciągnąć mnie w jakąś ciemną dziurę — w głębi widziałem na pół otwarte drzwi — musiałem zabezpieczyć sobie tyły. Podeszedłem do kasjera.

— Gdzie jest ten gość, który tu przed chwilą wszedł?

Czy od razu stał się bardzo czujny, czy tylko tak mi się wydawało?

— Jaki gość?

— O szczupłej twarzy, w meloniku.

— Dawno?

— Przed chwilą.

Znowu potrząsnął głową.

— Nie widziałem nikogo — powiedział.

Czekałem. Ci trzej weszli do środka i stanęli rzędem obok mnie przy kontuarze. Czuję, że przyglądają mi się bacznie. Byłem zupełnie bezradny, narastało we mnie zmieszanie; nagle odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Po chwili rzuciłem okiem za siebie i dobrze przyjrzałem się temu lokalowi tak, żebym w razie czego mógł tu trafić. Na rogu pod wpływem niezrozumiałego impulsu zacząłem biec, przed jakimś hotelikiem wsiadłem w taksówkę i pojechałem z powrotem na wzgórze.

Ellen nie było w domu. Za to zeszła do mnie pani Baker. Była w świetnym nastroju; dumna z urody córki, nie zdawała sobie zupełnie sprawy, że wczoraj wieczorem miało miejsce pewne niepokojące zdarzenie. Powiedziała mi, że cieszy ją zbliżający się koniec ferii — były one bardzo wyczerpujące, a Ellen nie jest specjalnie

silna. Potem dodała coś, co sprawiło mi wielką ulgę. Cieszy się bardzo, że przyszedłem, gdyż z pewnością Ellen będzie chciała się ze mną zobaczyć, a pozostało tak niewiele czasu. Wyjeżdża dziś wieczór o wpół do dziewiątej.

— Dziś wieczór! — zawołałem. — A ja myślałem, że dopiero pojutrze.

— Zamierza odwiedzić państwa Baxterów w Chicago — poinformowała mnie pani Baker. — Zaproсили ją na przyjęcie. Zdecydowaliśmy dzisiaj, że wyjedzie wieczorem z córkami Ingersollów.

Byłem tak uradowany, że z trudem powstrzymywałem się od tego, żeby uścisnąć jej rękę. Ellen jest bezpieczna. Nic złego się nie stało, ot, po prostu drobna przygoda. Czułem się jak idiota, ale dopiero teraz pojąłem, ile znaczyła dla mnie Ellen i jak bardzo przejmowałem się tym, co mogło jej grozić.

— Przyjdzie niedługo?

— Lada chwila. Właśnie dzwoniła z Klubu Uniwersyteckiego.

Powiedziałem, że wpadnę później — mieszkałem tuż obok — chciałem być sam. Po wyjściu przypomniałem sobie, że nie mam klucza, ruszyłem więc przez podjazd Bakerów, żeby pójść starym skrótem — przez dzielące nas podwórze — którego używaliśmy jako dzieci. Ciągłe jeszcze padało, ale płatki wirujące na tle ciemności były teraz większe; starając się odnaleźć zasypaną ścieżkę, zauważyłem, że tylne drzwi Bakerów są otwarte.

Nie wiem właściwie dlaczego, zawróciłem i wszedłem do ich kuchni. Dawniej znałem całą służbę Bakerów po imieniu. Teraz już nie, za to oni mnie znali i kiedy wszedłem, uświadomiłem sobie nagle napięcie — nie tylko wyczuwalne w rozmowie, ale jak gdyby nastrój wyczekiwania, który tu panował. Zbyt szybko cała trójka zabrała się do roboty — ze zbędnymi gestami i hałasem. Pokojówka spojrzała na mnie spłoszona i nagle domyśliłem się, że czeka na to, by przekazać Ellen następną wiadomość. Zawołałem ją do spiżarni.

— Wiem wszystko — powiedziałem ostro. — To bardzo poważna sprawa. Czy mam zaraz iść do pani Baker, czy zamkniesz te kuchenne drzwi na klucz?

— Och, panie Stinson, niech pan nic nie mówi pani!

— To proszę nie zawracać głowy panie Ellen. Bo w razie czego, będę o tym wiedział... — I tutaj zagroziłem, że pójde do biura pośrednictwa pracy i dopilnuję, żeby nikt jej nie zatrudnił w całym mieście. Kiedy wychodziłem, była skruszona, natychmiast też usłyszałem za sobą trzask zamykanych drzwi kuchennych.

W tej samej chwili od frontu podjechała wielka limuzyna, na miękkim śniegu zachrzęściły łańcuchy opon. Ellen właśnie wróciła do domu. Postanowiłem się z nią pożegnać.

Był również Joe Jelke i dwóch innych chłopców, wszyscy z takim zachwytem w nią zapatrzeni, że żaden nawet się ze mną nie przywitał. Miała tę cudowną różową karnację, dość często spotykaną w naszych stronach, uroczą aż do czterdziestki, kiedy zaczynają pojawiać się małe żyłki; mróz zaczerwienił prześlicznie jej policzki, wyglądała jak małe dziecko po wieczornej zimnej kąpeli. Najwidoczniej pogodzili się z Joem albo on zbyt był zakochany, żeby pamiętać wydarzenia wczorajszego wieczoru. Zauważyłem jednak, że choć dużo się śmiała, nie zwracała uwagi ani na niego, ani na tamtych. Chciała, żeby sobie poszli i żeby mogła spokojnie odebrać wiadomość z kuchni, ale ja wiedziałem, że żadnej wiadomości nie będzie, że jest bezpieczna. Rozmowa toczyła się wokół najmodniejszych tańców w New Haven i w Princeton, a po chwili wszyscy czterej, w różnych nastrojach, opuściliśmy dom Ellen i natychmiast na dworze rozstaliśmy się. Poszedłem do domu raczej przybity i całą godzinę leżałem w gorącej kąpeli rozmyślając, że teraz, kiedy ona wyjeżdża, ferie się dla mnie właściwie skończyły, i czując — jeszcze mocniej niż wczoraj — że mi się wymyka.

Coś jednak mi uciekło, coś, co powinienem był zrobić, coś, co zagubiłem wśród wydarzeń popołudnia, kiedy sobie obiecałem, że wrócę do tego, zajmę się tym, po to tylko, żeby się przekonać, że mi to uciekło. To coś kojarzyło się niewyraźnie z panią Baker i teraz dało o sobie znać. Podczas rozmowy z nią, czując wielką ulgę z powodu wyjazdu Ellen, zapomniałem zadać jej pytanie dotyczące czegoś, o czym mi napomknęła.

Chodziło o Baxterow — tak, o nich — o tych ludzi, którym wizytę miała złożyć Ellen. Znałem dobrze Billa Baxtera, był na tym samym roku co ja w Yale. I nagle olśniła mnie myśl, tak że aż usiadłem w wannie — Baxterowie nie spędzali w tym roku Bożego Narodzenia w Chicago, byli przecież w Palm Beach!

Ociekając wodą wyskoczyłem z wanny, narzuciłem płaszcz kąpielowy i wpadłem do mego pokoju, żeby zatelefonować. Natychmiast dostałem połączenie, ale się okazało, że Ellen już wyjechała na dworzec.

Na szczęście nasz wóz był w garażu i kiedy jeszcze wilgotny ubierałem się spiesźnie, szofer podjechał przed dom. Wieczór był zimny, suchy i szybko mknęliśmy na dworzec po twardym, chrupkim śniegu. Czuję się głupio, jakoś nieswojo tak nagle wyjeżdżając, ale zrobiło mi się lżej na sercu, gdy ujrzałem jasno oświetlony

nowy budynek dworca odcinający się ostrym konturem od ciemnego tła. Od pięćdziesięciu lat teren, na którym stały zabudowania stacyjne, należał do mojej rodziny i fakt ten, nie wiem dlaczego, jakoś usprawiedliwiał moją lekkomyślność. Wiedziałem, że może będę musiał bardzo wiele zaryzykować, ale świadomość, iż mam mocne oparcie w przeszłości, sprawiła, że nie bałem się tego. Cała ta sprawa przedstawiała się kiepsko, wręcz fatalnie. Moje przekonanie, którym tak się pocieszałem, że to całkiem niewinna przejażdżka, pierzchło; pomiędzy Ellen i nieokreśloną, nadciągającą katastrofą stałem tylko ja; inaczej groziła interwencja policji, skandal. Nie jestem bynajmniej moralistą — ale kryło się w tym wszystkim coś przeraźliwie ponurego, budzącego grozę i nie mogłem pozwolić na to, żeby Ellen zmierzyła się z tym sama.

Po wpół do dziewiątej, w kilkuminutowych odstępach, odjeżdżały z St. Paul do Chicago trzy pociągi trzech konkurencyjnych towarzystw kolejowych. Ona miała jechać ekspresem towarzystwa Burlington i kiedy biegłem przez peron, zobaczyłem, że bariera została już opuszczona i światła nad nią zgaszone. Wiedziałem jednak, że Ellen miała jechać w jednym przedziale z córkami Ingersollów, gdyż pani Baker wspominała, że kupiła im bilety, wobec tego na razie, aż do jutra rana, nic jej nie groziło.

Bariera na peronie linii CM. i St.P. nie była jeszcze opuszczona, ruszyłem więc pędem w drugi koniec peronu i w ostatniej chwili udało mi się wskoczyć do pociągu. Zapomniałem jednak o jednej rzeczy i to wystarczyło, żebym ze zmartwienia nie spał przez pół nocy. Mój pociąg przyjeżdżał w dziesięć minut po tamtym. A więc Ellen miała dość czasu, żeby mi zniknąć w jednym z największych miast świata.

Polecilem konduktorowi nadać z Milwaukee telegram z wyjaśnieniami do moich rodziców i o ósmej rano nazajutrz przepchnąwszy się gwałtownie poprzez tłum pasażerów gadających nad stosami waliz w przedsiönku wagonu, wyskoczyłem w biegu na plecy numerowego omal się nie przewracając. Na dobrą chwilę zamęt wielkiego dworca — różnorodne dźwięki i echa, krzyżujące się w powietrzu dzwonki i kłęby dymu — zupełnie mnie obezwładniły. Szybko jednak opanowałem się i ruszyłem w kierunku wyjścia, przekonany, że to jedyna szansa, żeby ją znaleźć.

Moje przypuszczenie było słuszne. Stała przy pulpicie telegraficznym nadając Bóg wie jakie kłamstwa do swojej matki, a kiedy mnie zobaczyła, wyraz jej twarzy stanowił mieszaninę strachu i zdumienia, zaprawioną przebiegłością. Myślała błyskawicznie — chciała jak najszybciej odejść, udać, że mnie nie widzi, i zająć się

swoimi sprawami, ale nie mogła. Stanowiłem zbyt konkretny element jej życia. Tak więc staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu, oboje gorączkowo oceniając sytuację.

— Baxterowie są na Florydzie — odezwałem się wreszcie.

— To bardzo miło z twojej strony, żeś zrobił taki szmat drogi, żeby mi to powiedzieć.

— Skoro już wiesz, czy nie lepiej byłoby jechać prosto do szkoły?

— Proszę cię, Eddie, zostaw mnie w spokoju — rzekła błagalnie Ellen.

— Jadę razem z tobą do Nowego Jorku. Ja też postanowiłem wcześniej wracać.

— Daj mi spokój! — Jej śliczne oczy zwięzły się, a na twarzy odmalował się wyraz tępego, wprost zwierzęcego uporu. Uczyniła widomy wysiłek, powróciła chytryść w spojrzeniu, potem twarz jej uspokoiła się i pojawił się na niej miły pojednawczy uśmiech, który jednak wcale mnie nie przekonał.

— Eddie, co ty sobie wyobrażasz, głuptasie! Przecież jestem już na tyle dorosła, że mogę sama o sobie decydować. — Nie odpowiedziałem. — Zrozum, że mam spotkać się z kimś. Chcę się z nim dzisiaj zobaczyć. Mam bilet do Nowego Jorku na pociąg o piątej. Jeśli mi nie wierzysz, pokażę ci go, mam przy sobie, w torebce.

— Wierzę ci.

— Nie znasz tego człowieka i szczerze mówiąc, uważam, że zachowujesz się bezczelnie, jesteś nieznośny.

— Wiem, kim jest ten facet.

Znowu straciła panowanie nad swoją twarzą. Wrócił ten okropny wyraz i kiedy się odezwała, było to jak warknięcie:

— Odczep się ode mnie.

Wziąłem blankiet telegraficzny z jej ręki i napisałem parę słów wyjaśnienia do pani Baker. Potem spojrzałem na Ellen i powiedziałem szorstko:

— Pojedziemy razem tym pociągiem o piątej. I resztę dnia spędzisz ze mną.

Już sam ton mego głosu — taki stanowczy — dodał mi nieco odwagi i jak sądzę, na niej również zrobił wrażenie. W każdym razie podporządkowała mi się — przynajmniej na razie — i poszła razem ze mną do okienka kupić bilet.

Kiedy staram się złożyć w całość oderwane fragmenty tego dnia, zaczynam odczuwać jakiś zamęt, jak gdyby moja pamięć nie chciała żadnego z nich uronić, albo moja świadomość pozwoliła im wszystkim wyciec. Był jasny, rześki poranek, kiedy pojechaliliśmy z Ellen taksówką do wielkiego domu towarowego, gdzie rzekomo miała

sobie coś kupić i gdzie zaraz starała się umknąć mi bocznymi drzwiami. Przez jakąś godzinę na Lake Shore Drive miałem uczucie, że ktoś za nami jedzie taksówką i starałem się przyłapać intruza gwałtownie się odwracając albo patrząc nagle w lusterko szofera, ale widziałem tylko twarz Ellen wykrzywioną w nienaturalnym, pozbawionym wesołości uśmiechu.

Przez całe rano wiał przejmujący, ostry wiatr znad jeziora, ale kiedy poszliśmy do Blackstone'a na lunch, zaczął padać lekki śnieg, a myśmy rozmawiali niemal naturalnie o naszych przyjaciółach i różnych zwyczajnych rzeczach. Nagle zmieniła ton, spoważniała i spojrzała mi prosto w oczy, otwarcie i szczerze.

— Eddie, jesteś moim najstarszym przyjacielem — powiedziała — i chyba możesz mi zaufać. Jeśli dam ci słowo honoru, że przyjdę na ten pociąg o piątej, czy puścisz mnie teraz samą na parę godzin?

— W jakim celu?

— Bo przecież... — zawahała się i zwiesiła głowę. — Chyba każdy ma prawo się pożegnać.

— Chcesz pożegnać się z tym...

— Tak, tak — przerwała mi spieszenie — tylko parę godzin, Eddie, i przysięgam ci, że pojadę tym pociągiem.

— No cóż, sądzę, że nic złego nie może się stać w ciągu dwóch godzin. Jeśli naprawdę chcesz się tylko pożegnać...

Nagle podniosłem oczy i tak mnie zdumiał wyraz przebiegłości malujący się na jej twarzy, że aż drgnąłem. Wargę miała uniesioną, a oczy znowu przypominały wąskie szpareczki. Nie było w niej nic szczerego ani uczciwego.

Zaczęliśmy się sprzeczać. Z jej strony argumenty były mętne, z mojej — mocne, choć powściągliwe. Nie zamierzałem dać się skokietować i okazać słabości, choć czułem wiszącą w powietrzu groźbę. Starła się wmówić we mnie bez żadnych przekonujących dowodów, że wszystko jest w porządku. Sama jednak zbyt pochłonięta była swymi ukrytymi zamysłami — obojętne, jakie one były — żeby wymyśleć jakąś logiczną historyjkę, ale starała się uczepić byle wiarygodnego wątku, na który mógłbym się złapać, i jak najlepiej go wykorzystać. Po każdym argumencie spoglądała na mnie wyczekująco, jak gdyby się spodziewała, że uległem tej budującej moralnej lekturze ze zwykłym happy-endem, który w tym wypadku miał oznaczać jej wolność. Ale ja po trochu zbijałem te argumenty. Raz czy dwa omal nie doprowadziłem jej do

łez — na czym mi oczywiście bardzo zależało — ale w końcu jakoś mi się to nie powiodło. Już, już ją miałem — już mi się wydawało, że przykułem jej uwagę — i nagle znowu mi się wymyka.

Bez żadnych ceregieli wpakowałem ją około czwartej do taksówki i pojechaliśmy na dworzec. Znowu wiał ostry wiatr, zapowiadając bliski śnieg, a ludzie czekający na przystankach na autobusy i tramwaje, zbyt ciasne, żeby mogły zabrać wszystkich, wyglądali na bardzo zmarzniętych i nieszczęśliwych. Starłem się myśleć o tym, jak to dobrze, że nam jest ciepło, wygodnie, ale cały ten zaciszny, szacowny świat, którego część stanowiłem do wczoraj, odsunął się ode mnie. Nie odstępowało nas coś wrogiego i przeciwnego temu wszystkiemu; coś, co było razem z nami w taksówce i na mijanych ulicach. W odruchu paniki pomyślałem, czy niepostrzeżenie i mnie nie zaczyna się udzielać nastrój Ellen. Grupa pasażerów czekających na pociąg była tak odległa jak mieszkańcy innej planety, ale to przecież ja oddalałem się od nich, pozostawiałem ich za sobą.

Miałem miejsce w tym samym wagonie, co jej przedział. Był to staroświecki wagon, z przyćmionymi światłami, chodnikami i miękkimi kanapkami pełnymi kurzu minionych pokoleń. Oprócz mnie jechało kilku pasażerów, nie zrobili jednak na mnie specjalnego wrażenia, poza tym, że dzielili ze mną tę nierealność, która zaczynała wokół mnie narastać. Razem weszliśmy do przedziału Ellen, zamknąłem drzwi i usiedliśmy.

Nagle objąłem ją i przyciągnąłem do siebie, jak potrafiłem najczulej, niby małą dziewczynkę, którą w gruncie rzeczy była. Opierała się nieco, ale po chwili uległa i leżała napięta, sztywna w moich ramionach.

— Ellen — zacząłem bezradnie — prosiłaś mnie, żebym ci zaufał. Ty masz o wiele większe podstawy, żeby zaufać mnie. Czy nie ulżyłoby ci, gdybyś pozbyła się tego wszystkiego, gdybyś mi o tym opowiedziała?

— Nie mogę — powiedziała bardzo cicho — to znaczy, nie ma tu nic do opowiadania.

— Spotkałaś tego człowieka w pociągu jadąc do domu i zakochałaś się w nim, prawda?

— Nie wiem.

— Powiedz mi, Ellen. Zakochałaś się w nim?

— Nie wiem. Proszę cię, zostaw mnie w spokoju.

— Nazwij to, jak chcesz — ciągnąłem — ale on ma jakąś władzę nad tobą. Chce cię wykorzystać, liczy na coś od ciebie, ale on nie jest w tobie zakochany.

— Jakież to ma znaczenie? — szepnęła.

— Ma. Zamiast starać się walczyć z tym, ty walczysz ze mną. A ja ciebie kocham, Ellen. Słyszysz? Mówię ci to teraz tak nagle, ale dla mnie to nic nowego. Kocham cię.

Spojrzała na mnie, na jej ślicznej twarzyczce malowała się kpina; taki wyraz widywałem u pijaków, którzy nie chcieli, żeby ich zawieziono do domu. Jednak było to przynajmniej ludzkie. Zaczynałem do niej docierać, słabo i z daleka, ale to już było coś.

— Ellen, chcę, żebyś mi odpowiedziała na jedno pytanie. Czy on ma jechać tym pociągiem?

Zawahała się, potem sekundę za późno potrząsnęła głową.

— Uważaj, Ellen. Teraz zapytam cię o jeszcze jedną rzecz i, chcę, żebyś się dobrze zastanowiła, zanim odpowiesz. Jak jechałaś na zachód, to kiedy ten człowiek wsiadł do pociągu?

— Nie wiem — odparła z wysiłkiem — w Pittsburgu, chyba. Odezwał się do mnie, kiedy ruszyliśmy z Pittsburga, byłam wtedy w przedziale kierownika pociągu.

Akurat w tym momencie zorientowałem się z niezachwianą pewnością, dotyczącą jedynie faktów, że on był za drzwiami przedziału. Ona również musiała o tym wiedzieć, bo krew odpłynęła jej z twarzy, na której znowu pojawił się ów wyraz zwierzęcej chytryści. Ukryłem twarz w dłoniach starając się zebrać myśli.

Musieliśmy tak przesiedzieć bez słowa przeszło godzinę. Zdawałem sobie sprawę, że światła Chicago, potem Englewood i nie kończących się przedmieść migają za oknami, a potem nie było już światła i pędziliśmy przez płaską ciemność Illinois. Pociąg zdawał się kurczyć, robił wrażenie, że mknie w zupełnej pustce. Do drzwi zapukał konduktor i spytał, czy może posłać łóżko, ale ja powiedziałem, że nie, i poszedł sobie.

Po chwili doszedłem do przekonania, że ta nadchodząca nieodzownie walka mieści się w ramach resztek mego zdrowego rozsądku, mojej wiary w podstawową uczciwość ludzi i rzeczy. Że cel tego człowieka był, jak my to nazywamy, „kryminalny”, uważałem za pewnik, ale nie było sensu przypisywać mu inteligencji będącej domeną wyższych ludzkich czy pozaludzkich aspiracji. Uważałem go nadal za człowieka,

którego istotę i zamiary chciałem zgłębić, zbadać, co w nim przejęło funkcję serca, ale byłem więcej niż pewien, co znajdę, gdy otworzę drzwi.

Wreszcie wstałem, Ellen robiła wrażenie, że mnie wcale nie widzi. Zgarbiona siedziała w kącie przedziału, patrząc prosto przed siebie zamglonymi oczami, jak gdyby uległy zawieszeniu czynności jej ciała i umysłu. Uniosłem ją nieco i podłożyłem jej pod głowę dwie poduszki, a na kolana narzuciłem moje futro. Potem ukląknęłem przy niej, ucałowałem jej obie ręce i wyszedłem na korytarz.

Zamknąłem za sobą starannie drzwi i stałem dobrą chwilę oparty o nie plecami. W wagonie było ciemno, z wyjątkiem światła po obu końcach korytarza. Nie było nic słyhać poza szumem w przewodach ogrzewania, rytmicznym stukotem kół na złączach szyn i czymś głośnym chrapaniem dochodzącym z któregoś przedziału. Nagle uświadomiłem sobie, że on stoi przy zbiorniku z wodą, tuż koło palarni dla panów, w meloniku na głowie, z kołnierzem płaszcza podniesionym wysoko, jak gdyby mu było bardzo zimno, z rękami w kieszeniach. Gdy go spostrzegłem, odwrócił się i wszedł do palarni, ja za nim. Usiadł w odległym końcu długiej, skórą krytej kanapki, ja zająłem fotel samotnie stojący tuż przy drzwiach.

Wchodząc skinąłem mu głową, a on skwitował fakt mojej obecności tym swoim okropnym bezdźwięcznym śmiechem. Ale tym razem śmiech ten trwał dłużej, zdawało mi się, że nigdy się nie skończy, i raczej po to, żeby go przerwać, niż po to, żeby okazać zdawkową grzeczność, spytałem:

— Skąd pan pochodzi? — starając się, żeby to wypadło jak najobojętniej.

Przestał się śmiać i spojrzał na mnie spod oka, usiłując najwidoczniej mnie rozgryźć. Kiedy zdecydował się odpowiedzieć, głos jego był stłumiony, jak gdyby dochodził przez jedwabny szal i z bardzo daleka.

— Jestem z St. Paul, koleś.

— Jedzie pan do domu?

Skinął głową.

— Taka krótka przejażdżka? — podtrzymałem rozmowę.

Znowu skinął głową niecierpliwie. Potem odetchnął głęboko i powiedział ostro, groźnie:

— Ty lepiej wsiądź w Forcie Wayne, koleś.

On był martwy. Był całkowicie martwy i ta energia, która jak krew płynęła w jego żyłach w St. Paul, teraz go opuszczała. Przez tę realną postać, która powaliła Joego Jelke, zaczęła przezierać nowa sylwetka — sylwetka człowieka martwego.

Znowu odezwał się z rozpaczliwym wysiłkiem:

— Wsiądziesz w Fort Wayne, koleś, bo cię wykończę. — Opuścił rękę do kieszeni płaszcza i zobaczyłem wypukłość rewolweru.

Potrząsnąłem głową.

— Nie możesz mnie nawet tknąć — odparłem. — Widzisz, wiem. — Jego straszne oczy omiotły mnie szybkim spojrzeniem, starając się dociec, czy mówię prawdę. Potem warknął i zrobił taki ruch, jakby chciał się zerwać na nogi.

— Wsiądziesz tutaj, a jak nie, to ja cię wysadzę, koleś! — zawołał ochryple. Pociąg zwalniał przed Fort Wayne i jego słowa zabrzmiały głośno we względnej ciszy, ale nie ruszył się z miejsca — był chyba zbyt słaby — więc siedzieliśmy tak patrząc na siebie; pod oknami tam i z powrotem przechodzili kolejarze opukujący młotkami koła i hamulce, a gdzieś z przodu porykiwała żałośnie lokomotywa. Nikt nie wsiadł na tej stacji do naszego wagonu. Po chwili konduktor zamknął drzwi i przeszedł przez korytarz, a myśmy prześliznęli się pośród żółtawych, mętnych światel stacyjnych i zanurzyliśmy się znowu w ciemność.

To, co sobie przypomniałem później, musiało się ciągnąć przez jakieś pięć albo sześć godzin, chociaż wspomnienie tego wraca do mnie jak coś nieokreślonego w czasie — coś, co mogło trwać kilka minut albo cały rok. Rozpoczął się atak na mnie — powolny, przemyślny, straszliwy, bo bez słów. Odczułem tę obcość, która doskwierała mi całe popołudnie, ale teraz przeżywałem ją głębiej, bardziej intensywnie. Było to uczucie zbliżone do odpływania, więc konwulsyjnie uchwyciłem się poręczy fotela, jakbym chciał przywrzeć do skrawka żywego świata. Chwilami miałem wrażenie, że unosi mnie fala. Odczuwałem wtedy coś w rodzaju ulgi, że nic mnie już nie obchodzi; potem nagłym wysiłkiem woli znowu wracałem do palarni.

Zrozumiałem, że od pewnego momentu przestałem go nienawidzić, przestałem odczuwać gwałtowną wrogość do niego i wraz z uświadomieniem sobie tego zrobiło mi się przeraźliwie zimno i spocila mi się głowa. Starał się usidlić moją odrazę, tak jak udało mu się usidlić Ellen na początku ferii, kiedy wracała pociągiem do domu. I ta właśnie siła, którą czerpał z żerowania na innych, doprowadziła go do wybuchu

przemocy wtedy w St. Paul, a teraz choć gasnąca i słaba, pozwalała mu ciągle jeszcze walczyć.

Musiał dostrzec, że się łamię, bo natychmiast odezwał się niskim, prawie łagodnym głosem:

— Teraz lepiej idź!

— Nigdzie nie pójdę — zmusiłem się do odpowiedzi.

— Jak chcesz, koleś.

Jest moim przyjacielem, dawał mi do zrozumienia. Wie, co mnie gnębi i chce mi pomóc. Współczuje mi. Lepiej dla mnie, żebym sobie poszedł, zanim będzie za późno... Rytm jego ataku był kojący niby piosenka: lepiej, żebyś sobie poszedł — i zostawił mnie z Ellen. Z cichym okrzykiem wyprostowałem się.

— Czego pan chce od tej dziewczyny? — spytałem drżącym głosem. — Chce pan jej życie zamienić w piekło?

W jego spojrzeniu odmalowało się nieme zdumienie, popatrzył na mnie jak niewinnie ukarane stworzenie. Na chwilę zawahałem się, potem dodałem z uporem:

— Pan ją przegrał, ona zaufała mnie.

Nagle jego twarz poczerniała od tajonego zła. Krzyknął:

— Kłamiesz! — głosem, który był zimny jak lodowate dłonie.

— Ona mi ufa — powtórzyłem. — Nie możesz jej tknąć, jest bezpieczna.

Opanował się. Twarz jego stała się blada, pusta, uczułem, że ogarnia mnie znowu dziwna słabość i obojętność. Po co to wszystko? Po co?

— Zostało panu niewiele czasu — zmusiłem się do mówienia; nagle w przeblysku intuicji dotarłem do sedna prawdy: — Pan tonie. Zostało panu zaledwie kilka godzin. Pańskie ciało leży martwe w Pittsburgu, tylko tam może pan dojechać, dalej nie.

Twarz jego wykrzywiła się straszliwie, straciła wszelkie podobieństwo do twarzy ludzkiej, żywej czy martwej. W tym samym momencie w palarni zrobiło się przeraźliwie zimno, a on z hałasem, który był czymś pośrednim pomiędzy paroksyzmem kaszlu i wybuchem straszliwego śmiechu, zerwał się na nogi, miotając przekleństwa.

— Chodź, a zobaczysz! — wołał. — Ja ci pokażę...

Zrobił krok w moim kierunku, potem drugi i wtedy jak gdyby otworzyły się za nim drzwi do niezmierzonej otchłani ciemności i zepsucia. Rozległ się okrzyk

śmiertelnego cierpienia; nie wiem, czy to on krzyczał, czy coś za nim, nagle opuściły go siły, westchnął długo, chrapliwie i opadł na ziemię...

Jak długo tam siedziałem półprzytomny ze strachu i wyczerpania — nie wiem. Następną rzeczą, jaką pamiętam, był zaspany służący czyszczący buty w drugim kącie palarni, a za oknami stalowe ognie Pittsburga przecinające płaską perspektywę nocy. Na ławce leżało coś — zbyt drobnego jak na człowieka, a zbyt ciężkiego jak na cień. I gdy się temu przyglądałem, to coś blakło, blakło, aż zniknęło.

W kilka minut później otworzyłem drzwi przedziału Ellen. Spała tam, gdzie ją zostawiłem. Jej urocza buzia była blada, niemal przezroczysta, ale leżała swobodnie — ręce spoczywały spokojnie, oddychała lekko, regularnie. To, co ją opętało, opuściło ją, pozostawiając wyczerpaną, ale dawną, kochaną Ellen.

Poprawiłem jej poduszki, otuliłem kocem, zgasilem światło i wyszedłem.

III

Kiedy wróciłem do domu na ferie wielkanocne, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było pójście do tej zakazanej dzielnicy i odwiedzenie sali bilardowej koło Siedmiu Kątów. Ten w kasie oczywiście nie pamiętał mojej krótkotrwałej wizyty sprzed trzech miesięcy.

— Chciałem się czegoś dowiedzieć o facecie, który zdaje się bywał tu kiedyś dość często.

Chyba dość dokładnie opisałem mu owego tajemniczego mężczyznę, bo kiedy skończyłem, kasjer zawołał niskiego jegomościa — może dżokeja? — siedzącego przy stoliku z miną człowieka, który ma do zrobienia coś bardzo ważnego, ale nie potrafi sobie przypomnieć co mianowicie.

— Hej, Krótki, porozmawiaj z tym gościem, dobra? Wydaje mi się, że szuka Joego Varlanda.

Krótki rzucił mi podejrzliwe spojrzenie. Podeszedłem i usiadłem obok niego.

— Joe Varland nie żyje, bracie — powiedział niechętnie. — Umarł tej zimy.

Opisałem go znowu — płaszcz, charakterystyczny śmiech, wyraz oczu.

— Tak, szukasz pan Joego Varlanda, ale on nie żyje.

— Chciałem się czegoś o nim dowiedzieć.

— Czego się pan chcesz dowiedzieć?

— Co on na przykład robił?

— A skąd ja mam wiedzieć? Od czasu do czasu wpadał tu na partyjkę.

— Niech mnie pan posłucha. Nie jestem policjantem. Po prostu chciałbym się czegoś dowiedzieć o jego obyczajach. Teraz, kiedy on nie żyje, nie może mu nic zaszkodzić. A poza nas dwóch to nie wyjdzie.

— Dobra, dobra — powiedział nadal jeszcze z wahaniem, taksując mnie wzrokiem. — Bardzo lubił podróżować. Ktoś mi mówił, że umarł w pociągu — drgnąłem — zaraz, zaraz, zaczekaj pan chwilę. Kto mi to mówił? W każdym razie zachorował w Nowym Jorku i postanowił wrócić do domu. W Pittsburgu zabrali go z pociągu z zapaleniem płuc i tam umarł.

Skinąłem głową. Poszczególne kawałki łamigłówek zaczynały się układać w całość.

— Dlaczego tak lubił jeździć pociągami?

— A skąd ja mogę wiedzieć?

— Powiedzmy, że panu przydałoby się dziesięć dolarów, a ja chciałbym się czegoś dowiedzieć na ten temat. Może ktoś coś panu o tym mówił?

— No — zaczął Krótki z ociąganiem — tyle tylko wiem, że jak powiadają, pracował w pociągach.

— Pracował w pociągach?

— Miał swoją własną metodę, ale nigdy nikomu jej nie zdradził. Obrabiał samotnie podróżujące dziewczęta. Nikt o nim właściwie nic nie wiedział — to był bardzo sprytny facet — ale od czasu do czasu pojawiał się tutaj z kupą forsy i dawał do zrozumienia, że znowu oskubał jakąś dzierlatkę.

Podziękowałem mu, wręczyłem dziesięć dolarów i wyszedłem zamyślony, nie mówiąc mu nic, że chociaż część Joego Varlanda została zabrana z pociągu w Pittsburgu, to druga część odbyła tę ostatnią podróż do domu.

Ellen nie przyjechała na święta do St. Paul, ale nawet gdyby przyjechała, nie poszedłbym do niej z tą informacją. W każdym razie tego lata widywałem ją prawie codziennie i staraliśmy się mówić o wszystkim innym, tylko nie o tym. Czasem jednak milkła nagle bez powodu i chciała być bardzo blisko mnie, a ja wiedziałem, co ją gnębi.

Oczywiście ma wielkie powodzenie i tej jesieni nastąpi jej debiut towarzyski, ja mam przed sobą jeszcze dwa lata w New Haven; jednak moje sprawy nie wyglądają tak bardzo beznadziejnie jak kilka miesięcy temu. W pewnym sensie ona do mnie należy — nawet jeśli ją tracę, należy do mnie. I zawsze będzie wiedziała, że ją kocham i że kiedyś mogę jej się przydać, a to są już względy poważnie za mną przemawiające. Dziś zabieram ją do klubu na tańce i może w pewnej chwili tego wieczoru zamilknie nagle przerażona i będzie chciała, żebym był blisko. Kto wie? W każdym razie będę blisko — zawsze będę blisko niej.

Przełożyła Irena Doleżal-Nowicka